

Maria Borzuchowska
nauczycielka-emerytka

Białystok

ul. Słowackiego 5^A m.36

kod 15 229

I/1250/2RW

© ARCHIWUM WŚCHOŃNIE

W s p o m n i e n i a

wiejskiej nauczycielki z okresu okupacji sowieckiej
/lata 1939 - 1941/.

Wieś Szudziałowo leży w powiecie sokólskim woj. białostockie w odległości 16-tu km od stolicy powiatu i około 10-ciu km od granicy Polski z ZSRR. Jest to biedna wieś, zamieszkała przez mało-i średniorolnych chłopów.

Ziemie są tu mało urodzajne, piaszczyste, a pola rozrzucone w wielu wąskich zagonkach, brak pastwisk, a łąki położone w odległości kilkunastu km od wioski.

Mieszkańcy tej wsi to katolicy - Polacy.

Szudziałowo to siedziba gminy, jest tu urząd gminy, posterunek policji, poczta, kościół i szkoła.

Szkoła to murowany stary budynek ma dwie klasy i mieszkanie dla nauczyciela. W szkole tej uczyłam od 1930 do 1947 roku.

Kierownikiem szkoły w latach 1926 - 1939 był mój mąż, Tadeusz Borzuchowski.

Gmina Szudziałowo obejmuje około 30-tu wsi. W kilku wioskach mieszkają sami katolicy, co według lokalnej opinii jest równoznaczne z pojęciem Polaka, w kilkunastu wioskach mieszkają prawosławni - Białorusini, w nielicznych natomiast mieszkańcy są mieszanymi: katolicy i prawosławni.

W wioskach "prawosławnych" przed 1939 rokiem istniały ~~istniały~~ czynne organizacje komunistyczne skupiające się wokół takich rodzin jak: Prytyccy, Prokop^{ow}iczcykowie, Chomczykowie i inni.

W Szudziałowie zastała mnie wojna, tu z rodziną przetrwałam okupację sowiecką i niemiecką.

W dniu 28.08.1939r mój mąż został zmobilizowany do wojska jako podporucznik rezerwy.

Żegnałam go w przekonaniu, że rozłąka będzie krótka - nie wrócił, leży w Katyniu. Zostałam z rodziną: siostrą, sześciolletnią córką Agnieszką i czteroletnim synem Januszem.

Przeżyłam tu czasy okupacyjnej poniewierki i poniżeń, ciągłego strachu i niepewności o losy najbliższych i swój własny.

Żyliśmy w niedostatku bardzo często graniczącym z nędzą.

2

W dniu 20 września obudziły nas wybuchy i wstrząsy, były to pierwsze zwiastuny wojny. Niemcy zrzucili bomby na budynek poczty w szkole wypadły szyby.

Pierwszego Niemca zobaczyłam przed szkołą /w której z rodziną mieszkalam/, coś mówił, czegoś się domagał. Wkrótce cały plac szkolny zapełnił się wojskiem niemieckim. Żołnierze butni, arogancy, oficer o coś się dopytywał, odpowiedziałam, że nie znam niemieckiego, jeden z jego kolegów poprawną polszczyzną z ironią zapytał: "jak to, nauczycielka i nie zna języka niemieckiego?", odpowiedziałam, że jestem nauczycielką polską i język ojczysty znam dobrze. W rozmowie z nim dowiedziałam się, że Niemcy tereny nasze opuszczą i przyjdą tu Sowieci. Rzeczywiście, po paru dniach po Niemcach nie było już śladu. Przez najbliższe tygodnie nastąpiło "bezkrólewie". Rządy objęli miejscowi działacze komunistyczni, Był to jeden z najstraszniejszych okresów, jaki przeżyliśmy. Rozpoczęły się osobiste porachunki. Uzbrojone bandy pijanych chłopów z okolicznych wsi zaczęły bardzo żarliwie budować "nowy ład". Grasowali po wsiach wyłapując "jaśnie panów, prekatych Polaków", a byli nimi: urzędnicy gminy, leśnictwa, posterunku policji i bogatsi gospodarze.

Szczególnie zawzięcie tropiono nauczycieli, nie ukrywano, że będą oni mordowani lub w najlepszym wypadku wypędzani. Codziennie dochodziły nas wieści o morderstwach: zastrzelono dwóch inżynierów, którzy meliorowali jedną z wiosek gminy, nadleśniczego z sąsiedniej wsi, oraz wyłapywano i mordowano żołnierzy polskich powracających do domów.

Żyliśmy w ciągłym strachu oczekując w każdej chwili najgorszego. Wreszcie pewnego dnia "twórcy nowego ładu" zjawili się w szkole. Każą oddać broń i chcą widzieć kierownika szkoły. Dowiadują się, że kierownika nie ma, nie wrócił z wojny, broń zabrał ze sobą. Wówczas łaskawie oznajmijają mi, że jeżeli kierownik się chowa, to niech tego nie robi, bo oni nic złego mu nie zrobią, on był dobrym człowiekiem i może tu zostać. Ja z rodziną też nie mam się czego bać, bo oni nawet będą się opiekować nami.

Doznajemy nadzwyczajnych przywilejów, łask, mogę z rodziną pozostać na miejscu, Koleżance z sąsiedniej wsi każą natychmiast się wynosić.

Całe dni spędzam razem z ludźmi nąwsi, chcę o wszystkim wiedzieć i pokazać, że się nie chowam. Poczytano to później na moją korzyść "ona /to ja/, jest nasza, niczego się nie boi, witała z nami krnąrzą armię". Dzięki takiemu postawieniu sprawy nie znalazłam się z rodziną na Syberii.

Pewnego dnia usłyszeliśmy głucho dudnienie dochodzące od granicy wschodniej. Pokazały się na szosie od strony Krynek czołgi sowieckie. Przed gminą zgromadziła się ludność ze wsi prawosławnych z transparentami powitalnymi i czerwonymi flagami. Owacyjnie spotykali "swoich". Mieszkańcy Szudziałowa, wraz z nimi ja, obserwowaliśmy z boku powitalne sceny.

Zobaczyłam po raz pierwszy sowiecki czołgi i żołnierzy. Hałaśliwi wykrzykujący "bratnie pozdrowienia", zatrzymali się na krótko i odjechali.

Wkrótce utworzyła się nowa władza gminna. Już urzędują, wydają polecenia, każą otworzyć szkołę i uczyć jak "przedtem" bez zmian. Przy pomocy ludności zorganizowałam szkołę, zgromadziliśmy sprzęt doprowadziliśmy do porządku klasę. Rozpoczęłam naukę sama.

Po paru dniach otrzymałam nowe polecenie: "szkoła w Szudziałowie ma być białoruska", każą usunąć z klasy krzyż, ma to być Niższa Szkoła Średnia

Szkoła Średnia WSS /, zostaje jej kierowniczą.

Przyjeżdżają z Mińska nowi nauczyciele: Siemczenko W. - Rosjanin, Nowikow - Białorusin oraz Jofe - Żyd.

W takim składzie zaczynamy naukę. Uczymy bardzo różnie:, Ja umawiam się z uczniami klas starszych /czwartej i piątej/, że uczymy się po polsku, a po białorusku mówimy jedynie wówczas, gdy na lekcję przyjdzie ktoś obcy, Mi nowi nauczyciele uczą po rosyjsku, /białoruskiego bardzo nie lubią/, Nie mogą się też pogodzić z faktem, że kierowniczką szkoły jest Polka, żona polskiego oficera, w jej domu wisi krzyż, a rodzina chodzi do kościoła.

Szczególnie wrogo do mnie nastawiony jest Jofe - Żyd. Na każdym kroku prowokował pytaniami, by uzyskać dowody mojej nielojalności np: Jofe - "dzieci w szkole noszą krzyżyki, czy mam kazać je zdjąć - "czy on /Jofe/ jest pedagogiem?, jeżeli tak to sam musi wiedzieć, jak postąpić i nie zadawać takich pytań",

Jofe - "jest u nas dwie szkoły, jedną tu a druga w kościele, Ksiądz uczy dzieci, a rodzice za to płacą",

ja - "czy on /Jofe/ jest komsomolcem?, jeżeli tak, to jaki z niego działacz, skoro o tym nie powiadomił jeszcze władz", Jżaraz dodałam, że jeżeli to nie jest prawdą, to on tu, we wsi, nie będzie się dobrze czuł.

I tak każdy dzień w szkole rozpoczynał się jakimiś niespodziankami. Żyłam w ciągłym napięciu. Musiałam być czujna, by nie popełnić błędu, który mógłby bardzo drogo kosztować mnie i rodzinę.

Władze gminy również nieustannie okazywały mi swoją wrogość i czyniły bardzo poważne zarzuty, a to, że z ludności białoruskiej robię Polaków, a to, że nie prowadzę żadnej pracy oświatowej ze starszą młodzieżą itp.

Doprowadzona do kresu wytrzymałości rozpoczęłam starania o utworzenie szkoły polskiej. Omówiłam to z zaufanymi rodzicami uczniów, Napisano podanie, zebrano podpisy i listem poleconym wysłano do rejonu do Sokółki.

Dalej wypadki potoczyły się bardzo szybko:

- Wkrótce, niby przypadkowo, spotkał się ze mną pracownik Inspektoratu /Spektor - Żyd/ próbując wy badać: kto był inicjatorem szkoły polskiej, kto pisał podanie, kto zbierał podpisy, kto wysłał podanie itp.
- W kilka dni potem przyjechał do szkoły inny pracownik Inspektoratu / Okuszek - Polak/. Przeprowadził ze mną bardzo wnikliwy wywiad o szkole, nauczycielach, ludności itp z przed 1939 roku
- Następnie zjechała do szkoły pięcioosobowa ekipa z rejonu na wizytację. Była to zdecydowanie nietypowa wizytacja: w każdej klasie kazali uczyć w innym języku /po polsku, rosyjsku i białorusku/, żadnych powizytacyjnych uwag nie było, natomiast ze mną przeprowadzono kilkugodzinną rozmowę na temat problemów szkoły z okresy przedwojennego, ludności /język, wyznanie stosunek do władz szkolnych itp/.

W końcu padło pytanie : jaka, moim zdaniem, powinna być w Szudziałowie szkoła: polska, czy białoruska?, odpowiedziałam, że taka decyzja przekracza moje kompetencje i należy do władzy.

Następnie ostatnie pytanie: "kim jest wasz mąż?" , odpowiedziałam, że był kierownikiem szkoły, we wrześniu został zmobilizowany do Wojska Polskiego jako oficer, do domu nie wrócił. Odniosłam wrażenie, iż zwłaszcza ostatnie pytania nie wywołały spodziewanego efektu, nie przestraszyłam się, wizytatorzy odjechali zdecydowanie niezadowoleni.

- Po dwu dniach, już nie do szkoły, lecz do gminy zjechała władza z Powiatu w sprawie szkoły polskiej, Pierwszym posunięciem było aresztowanie listonosza, który wysłał podanie, następnie wezwano na przesłuchanie siedmiu gospodarzy, którzy nie mieli dzieci w wieku szkolnym, a podanie podpisali. ^{zatem wstano} Następnie wezwano mieszkańców wsi na ogólne zebranie do gminy. Poprzez zaufanych mieszkańców postarałam się o to, by na zebraniu przyszło jak najwięcej osób, nawet po kilka z jednego domu.

O zmroku zebrała się w gminie cała ludność ze wsi. Za stołem prezydyalnym zasiadła, przybyła z Sokółki władza oraz miejscowi dygnitarze gminni, o kierownicze szkoły zapomniano, co było mi bardzo na rękę.

Salę oświetlały dwie naftowe lampy ustawione na stole prezydyalnym. Stłoczeni ludzie stali w półmroku. W takich warunkach mogłam nie zauważona przechodzić z miejsca na miejsce i podpowiadać odpowiedzi na bardzo liczne i podchwytliwe pytania.

Wyglądało to następująco:

- prezydium - przyjechaliśmy w sprawie polskiej szkoły, o którą napisaliście podanie,
- z sali - i my pokornie o nią prosimy,
- prezydium - nas nie trzeba pokornie prosić, przyjechaliśmy to sprawiedliwie rozstrzygnąć,
- prezydium - kto wam mówił o polskiej szkole ?,
- z sali - kierownicza szkoły na zebraniu rodzicielskim, my pytaliśmy, a ona wyjaśniała,
- prezydium - kto zbierał podpisy ?,
- z sali - podpisywaliśmy w każdym domu i kolejno oddawaliśmy do sąsiada i tak przez całą wieś,
- prezydium - kto wysłał podanie ?,
- z sali - wysłał je pracownik poczty, my go o to prosiliśmy, a teraz prosimy o zwolnienie go z aresztu,

W tym duchu toczyła się kilkugodzinna dyskusja. Odpowiedzi były spokojne i padały z różnych stron sali, prezydium zaś robiło wrażenie coraz bardziej podenerwowanego.

W końcu padło ostatnie pytanie : - jacy z was Polacy, po co wam polska szkoła, skoro w domach nie mówicie po polsku /ludność wioski rozmawiała tzw. językiem prostym - mieszaniną rosyjskiego, białoruskiego, i polskiego /, odpowiedź z sali:- car nam zabraniał mówić po polsku to i nie umiemy, a teraz Stalin pozwolił, więc my chcemy szkoły polskiej.

Po krótkiej naradzie przewodniczący prezydium ogłosił: - od dziś macie polską szkołę.

Przy hucznych okrzykach radości i ludności, zebranie zakończono. Otrzymaliśmy więc polską szkołę. Była to jedyna polska szkoła na terenie całej gminy. Starania innych wsi nie dały pozytywnego rezultatu. W dwunastu pozostałych szkołach uczeno po białorusku. W Szudziałowie nastąpiły znowu zmiany: odeszli moi dotychczasowi /pożał się Boże/ współpracownicy, z głównym prześladowcą Jofe, przysłano nowych nauczycieli, już do szkoły polskiej, a byli nimi Mukasiej - Białorusin, chłopak znany w Szudziałowie jako sprzedawca dewocjonalji na odpustach oraz Ryfka i Żydówka z Krynek, którą nie potrafiła poprawnie mówić po polsku.

Polska szkoła szudziałowska była traktowana jako kopciuszek, ~~zawsze~~ zawsze na ostatnim miejscu wśród szkół białoruskich, co szczególnie było widoczne podczas różnych manifestacji w gminie z okazji uroczystości państwowych.

Lekcje prowadzone przez tych pedagogów /od siedmiu boleści/, prze radzały się wielokrotnie w niemal bcyrkowe widowiska. Byłam absolutnie bezradna, pozostawało jedynie wierzyć i czekać na zmiany.

Możliwość nauczania w języku polskim decydowała o wartości mojej pracy i dawała mi siłę przetrwania.

W okresie okupacji niemieckiej /lata 1941 - 1944/, w Szudziałowie nie było żadnej szkoły.

Od września 1941 roku do końca wojny prowadziłam komplety tajnego nauczania /klasy IV i V /, pracując równocześnie jako robotnik fizyczny w miejscowej mleczarni. (z miesięczną pensją 17-tu marek. plus 0,5 kg sera.) Utrzymywałam czteroosobową rodzinę.

Polski nauczyciel wiejski na terenach wschodnich, w czasie okupacji sowieckiej był całkowicie pozostawiony sobie. Nie miał znikąd żadnego wsparcia, pomocy czy też rady, musiał sam rozwiązywać wszystkie problemy i borykać się z wszystkimi przeciwnościami życia.

Niektórzy z kolegów nie potrafili sobie z tym poradzić, załamywali się i przechodzili na służbę wroga, lub uciekali z zawodu nauczycielskiego. Mnie się udało, przetrwałam do końca i myślę, że po mojej pracy w Szudziałowie pozostał trwały ślad. Życie i praca miały dla mnie swoisty głęboki sens.

Dziś moi wychowankowie z Szudziałowa są rozrzućeni po całym świecie. Są wśród nich lekarze, inżynierowie, nauczyciele, urzędnicy, pracownicy rolni.

Dwu spośród nich /członkowie AK/ zostało zamordowanych przez UB: Kostro Henryk i Kundzicz Stanisław, kilku musiało szukać nowej ojczyzny poza Krajem /w USA, Wielkiej Brytanii i Australii/, niektórzy musieli zmienić miejsce zamieszkania i pracują w zachodnich województwach, garstka pozostała na ojczystym zagonie.

Ze swymi wychowankami utrzymuję stałe kontakty, każde spotkanie staje się wydarzeniem i bardzo miłym przeżyciem.

Czasy okupacji związały mnie bardzo z ludnością wsi. Ja byłam ich doradcą, powiernikiem, a niejednokrotnie i lekarzem, a od nich doznawałam pomocy materialnej, darzono mnie szacunkiem i sympatią. Mam tam do dziś bardzo oddanych przyjaciół.

Dziś mając 85 lat, żyję wspomnieniami ~~tych~~ koszmarnych czasów okupacji i wojny. Moim największym pragnieniem jest, by już nigdy nikt w Polsce i na świecie nie przeżywał tych okropności, które były udziałem moim i moich wychowanków.

Białystok, dnia 13.01.1992.

